

KRONIKA GOSTYŃSKA

CZASOPISMO  REGJONALNE

SERJA IV. Nr. 3.

Gostyń, dnia 1 czerwca 1932 r.

TREŚĆ: W pamiętną rocznicę — Iry Stablewska. Szkice z dziejów Gostynia — Ks. kanonik Stanisław Kozierowski. Z dziejów kulturkampfu w St. Gostyniu — Józef Gano, gospodarz z Kosowa.

Iry Stablewska.

W pamiętną rocznicę.

(Ks. arcyb. Florjan Stablewski.)



24 listopada 1931 r. minęła 25-letn. rocznica śmierci śp. arcybiskupa Florjana Stablewskiego. Września uczciła pamięć swego długoletniego proboszcza głęboko odczuciem i doskonale naszkicowanym wspomnieniem pióra Bolesława Szczepczyca. Znakomity pisarz i kaznodzieja, ks. infułat Kłos, uważa zmarłego dostojnika kościoła jako jednego z największych arcypasterzy, jacy zasiadali na stolicy św. Wojciecha: „A nam — pisze ks. infułat — którzy mieli sposobność patrzeć zbliska na Jego bolesne zmagania się z zawziętym olbrzymem pruskim, co to zagładę zapowie-

dział językowi — ba, nawet bytowi narodu, którzyśmy śledzili Jego wysiłki w obronie polskiego pacierza dziatwy naszej i patrzeli z żalem, jak ścierały się Jego siły w brutalnych zapasach z przemożnym wrogiem, powinniśmy z wdzięcznością wspominać tego hetmana ducha, a zwłaszcza w 25-letnią rocznicę Jego zejścia ze świata.“

Ziemię gostyńska! i ty byłaś świadkiem niejednej chwili życia Florjana Stablewskiego, chwil ciężkich zmagania z losem i chwil triumfu, gdy jako arcybiskup zjawiał się w powiecie, by święcić, przemawiać, błogosławić!

Nie piszę życiorysu arcyb. Stablewskiego. Godniejsze pióra już to uczyniły. Pragnę tylko w 25 rocznicę jego śmierci garść wspomnień rodzinnych, związanych z jego tutaj pobytami, rzucić na karty Kroniki Gostyńskiej, która cenić umie to, co czci godne — i przekazywać młodszemu pokoleniom pamięć mężów zasłużonych ojczyźnie.

Już jako młodziutki kleryk Florjan Stablewski przybywał do Zalesia, by wypocząć na łonie rodziny. Tu, w domu starszego od siebie stryjecznego brata, Stanisława Stablewskiego, znajdował zawsze oparcie materialne czy moralne i serdeczną opiekę, to też przez całe życie Zalesie wyróżniał swą sympatją. Tutaj, w czasie wakacji, ułożył i uporządkował bibliotekę, spisując katalog książek. Stąd pojechał do W. Strzelec, by pierwszy raz przemówić z kazalnicy. A spadło to na niego niespodzianie. Matka nasza lubiła opowiadać ten rys z życia arcybiskupa. — Razem z siostrą męża, późniejszą Zygmuntową Szczaniecką, pojechały na odpust św. Anny do Wielkich Strzelec i zabrały ze sobą kuzyna, kleryka Florjana Stablewskiego. Skoro tylko zobaczył gościa ks. Grześkiewicz, ówczesny proboszcz w. strzelecki, zbliżył się do niego z prośbą, aby zastąpił kaznodzieję, który w ostatniej chwili dał znać, iż dla choroby przybyć nie może. Florjan Stablewski zastanowił się krótko, poczem rzekł: „proszę mi dać parę chwil czasu, abym mógł się przygotować“. I, oddalwszy się, obchodził kościół w głębokiej zadumie. Panie wtuliły głowy nieomal pod ławkę, oczekując z wielką treścią przemówienie „Florka“. Ale po pierwszych słowach, które padły z ambony, odetchnęły... bo oto przygodny mówca pokazał, iż należy do tych, co

„dwukrotnie poznać się nie dają,
lecz za pierwszym odruchem — już mistrza zdradzają“.

Nigdy może w murach strzeleckiego kościoła nie słyszano słów równie pięknych i podniosłych! Ludzie stali zdumieni, przyglądając się młodziutkiemu kaznodziei, który błyskawicznie porwał proste ich serca i rzucił je pod stopy Chrystusowe.

Sędziwy proboszcz „Grześ“ promieniał.

— „A co — mówił uradowany — nie powiedziałem, że Florek gadać potrafi ex abrupto! Ja tego nie dożyję — lecz wy, moje panie, zobaczycie jak on wysoko zajdzie w hierarchji kościelnej.“ —

Gdyśmy dziećmi byli, a przybywał do Zalesia stryj Florjan, odzywał się pewien niepokój wśród grona nieletnich. Gość lubił egzaminować, wypytywać o postępy w naukach, słuchać deklamacji. Później sam dużo nam czytywał, najczęściej poezje Mickiewicza. Chwilami przystawał, aby nam dać sposobność do ćwiczenia pamięci i dokończenia mickiewiczowskich rymów

W kalejdoskopie wspomnień podlotka, ukazuje się potem olbrzymi Berlin, gmach sejmowy z salą poselską, kipiącą od wrzawy i mów parlamentarnych, na której to arenie 18 lat walczył o prawa religji i swego narodu „der heissblütige Pole“, jak nazwał posła Fl. Stablewskiego Kennemann. Mowy ks. prałata Stablewskiego obiegały cały świat (jedną Kölnische Volkszeitung wydrukowała w 200 000 egzemplarzach i rozrzuciła na Zachodzie), ciskały gromy druzgocące wrogów, płakały bólem rozbitków losu, spętanych żelazną obręczą praw antypolskich, gorzały świętym ogniem miłości ojczyzny i zapału w obronie jej najdroższych skarbów.

A obok prałata Stablewskiego ileż przezacnych postaci posłów ówczesnych przewija się w mej pamięci! Że tylko wymienię kilku: Stanisława i Franciszka Chłapowskich, Seweryna Radońskiego, W. Wierzbińskiego, Szumana, K. Kantaka, Jażdżewskiego, T. Magdzińskiego, Łyskowskiego i wielu, wielu innych dzielnych rzeczników polskiej sprawy! Są i Niemcy-katolicy broniący nas, np. Schorlemer d'Alst i przywódca Centrum „Mała Ekscelencja“ Windhorst, szczerzy przyjaciel Polaków, a specjalnie Florjana i Stanisława Stablewskich. — Choć czas to wróg nieubłagany wspomnień — oto przed oczami duszy otwiera się na oścież — jakby dziś — sala Hotelu Rzymskiego. Imieniny Kazimierza Kantaka, męża o „sercu gołębiem, tak wrażliwym, że każde gorętsze słowo o Ojczyźnie młodzieńczych wzruszeń rozniecało żary“. — Koledzy sejmowi wyprawiają mu ucztę. Nastrój serdeczny. Ks. prałat Stablewski przemawia do solenizanta — a potem kolejno do każdego z posłów. Igra słowami, rozwesela na przemian i wzrusza do łez. Płyną słowa przeplatane kwiatami poezji, chwilami mocarne. Wieczór tymczasem zapada. Stolica nad Sprewą jarzy się od świateł... gwar i zgiełk

wzrasta... Po ulicach maszerują butne junkry pruskie...
różnie muzyka. Wszędzie jeden ton góruje: Deutschland,
Deutschland über Alles!...

A tam — skupieni niby jedna rodzina — obrońcy prze-
mocą wydartej ziemi, nieugięci w wierze, że wstanie z gro-
bu Ta, co nie umarła — słuchają w ciszy: „pochodu na
Sybir“. To Kantak „w pieśniach wieszczów rozmiłowany“
— deklamuje.

Zapatrzona w wizję śnieżnych stepów północy, zawisłam
na ustach mówcy. A wtem budzą mnie z zadumy głosy:
„Dosyć już, Kantak! dosyć — teraz jedna z pańienek.

Jedna z pańienek — to niby, ja! Boże!

Strach najeżył mi włosy, serce załomotało... Ale te
twarze posiwiały w boju parlamentarnym rycerzy tak są
życzliwe, nieomal ojcowskie, iż lęk powoli ustępuje. Stryj
Florjan zbliża się i szeptem: „Nie daj się prosić — bądź od-
ważną!“

A więc:

„Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?...

Bądźmy dumni mój aniele

Bo nim stąpi cud i zbawi

Tych, co w dawnym śpią kościele

Nam zwątpienie serc nie krwawi...

Nie — nie było w tym gronie zwątpienia... Była walka
zacięta o każdą piędź ziemi ojczystej, o byt i prawa narodu,
o pacierz i szkołę polską, ale choć w tej walce nie padały
trupy na pobojuisku, nie grały surmy bojowe, były olbrzy-
mie zwycięstwa moralne. Była ufność w Bożą opiekę nad
nami i w sprawiedliwość dziejową. Ona to podyktowała
posłowi Stablewskiemu znamienne słowa, rzucone w stronę
Bismarcka i Gosslera: Deus mirabilis — fortuna variabilis!

Mniejwięcej w dziesięć lat później w 1892 r. żelazny
kanclerz załamał się, a kapłan-szermierz, pokrzepiony u gro-
bu św. Wojciecha, wjeżdżał z triumfem do Poznania, by
zasiąść na prastarej stolicy jako spadkobierca prymasów
polskich!...

Wkrótce potem i ziemia gostyńska rozbrzmiewała echem
przyjęć arcypasterza. 25-go września 92 r. wspaniałą czwór-
ką ks. ks. Czartoryskich przybył do Zalesia, witany entuzjas-
tycznie przez Zalesian i sąsiadów. Nazajutrz, po odprawie-
niu mszy św. w zaimprovizowanej kaplicy pałacowej, poje-
chał dostojny gość do klasztoru Filipinów, by klęknąć u stóp

Cudownej Matki i wyprosić sobie Jej błogosławieństwo. Tysiące okolicznego ludu zalegało drogę wiodącą do Gostynia i owacjom nie było końca. Wieczorem gmina zaleska, z sołtysem Roszakiem na czele, urządziła przyjęcie. Banderja konna, chłopci z pochodniami, dziewczyny w bieli ze świecami, wśród sztucznych ogni bengalskich i wiwatów, odprowadzali gościa na kolej.

Gdy po raz wtóry tu zawitał w przejeździe do Krobi — powtórzyły się owacje. Wystąpił zwłaszcza sołtys Roszak, domorosły poeta zaleski, z wierszami własnego układu.

Gromkie okrzyki zebranego ludu rozległy się wśród strzałów rakiet i ogni bengalskich. Na drugi dzień po mszy św. — żegnany serdecznie przez tłum ludu — arcybiskup wysłuchał słów pożegnalnych Roszaka.

Jeszcze jedno błogosławieństwo — jeszcze jedną serdeczną podziękę odebraliśmy od arcybiskupa i powóz ruszył, otoczony gospodarzami na koniach, do Gostynia.

Dzienniki niemieckie przetłumaczyły wiersze sołtysa Roszaka dodając: „Beispiel der polnischen Frechheit“. Autora powołano na termin, i oskarżenie poszło do prokuratora do Leszna. Obawialiśmy się, czy nie będzie karany, ale dzielny sołtys potrafił się obronić.

Przyjęcie arcybiskupa w Krobi odbyło się 29 marca 94 r. z wielką wspaniałością. Nieprzejrzone tłumy ludzi zaległy miasto i drogę do niego wiodącą. Wszyscy nieomal obywatele miasta, grono dziewic w bieli, trzydziestukilku kapłanów brało udział w uroczystości, a z ziemian okolicznych wymienia Dziennik Poznański: hr. Stanisława Czarnieckiego z Pakosławia, Czorbę z Krajewic, hr. Marcelego Żółtowskiego z Godurowa, marszałka Stablewskiego z Zalesia z trzema synami, ks. ks. Adama i Zdzisława Czartoryskich, p. Mycielską z córką z Ponieca, szambelana Morawskiego z Luboni, hr. M. Mielżyńskiego z W. Łęki, p. Gustawową Potworowską z Goli, marszałkową Kurnatowską z Pożarowa i p. Rogalla-Biberstein z Ziółkowa. Banderja liczyła 200 koni. Setki chorągwi — wieczorem iluminacja świetna — wielki zapal!

Równie wspaniale odbyła się konsekracja klasztoru Bonifratrów w Marysinie. Po solennej mszy św., w czasie której przystępowała po raz pierwszy do komunji św. Marja, córka fundatora hr. Marcelego Żółtowskiego, arcybiskup, w licznej asyście duchownych, przemówił ze schodów do

tłumu, oblegającego klasztor. Serce złotoustego kaznodziei, tak czułe na niedolę bliźnich, drgało współczuciem, gdy zaznaczył obecnym, że niebawem w tym domu Bożym aniołowie miłosierdzia pochylać się będą nad łóżkami chorych braci. Po ceremonii poświęcenia odbyła się uczta, w której przeszło 80 osób wzięło udział. — Po kilku dniach pobytu wśród nas arcybiskup powrócił do Poznania, gdzie często przewijali się znakomici goście, potentaci ducha i wiedzy, którymi stryj lubił się otaczać. Pamiętam jeden wieczór, więcej od innych zajmujący, gdy z powodu przybycia zasłużonego, sędziwego prof. Baranowskiego z Warszawy, arcybiskup zaprosił kilkunastu koryfeuszów nauki, redaktorów i lekarzy, by omówić doniosłe sprawy Wielkopolski i Śląska. Jako bratanica i trochę literatka należałam do rzędu zaproszonych i z najżywszym zajęciem przysłuchiwałam się mądrym i pouczającym rozprawom tylu poważnych mężów. W tym czasie przybył też z Rzymu kapłan, pełen zewnętrznego uroku i ujmującej dobroci, którego arcybiskup witał z niezmierną radością. Był to ks. Dalbor — późniejszy dostojnik Kościoła i kardynał. A wprowadził go na salony tumskie kapelan Łukomski, dzisiejszy biskup łomżyński. Stryj kochał go jak syna. Jeszcze dziś słyszę, gdy zwracał się do niego z czułymi słowami: „Stasiu! mój synku.“ — I rzeczywiście ks. Łukomski, jak najlepszy syn i anioł opiekuńczy, czuwał nad swym zwierzchnikiem, dzielił jego troski, pomagał mu dźwigać ciężki krzyż życia i choroby, gdy słabły siły, a zamierające serce rwało się do czynu!...

Ale oto odbiegłam daleko od ziemi gostyńskiej i Krobi. Co rok spędzał w niej arcybiskup Stablewski długie tygodnie. Bardzo lubił Krobię i jej otoczenie. W szybkim tempie dobudował kaplicę i werandę do mieszkalnego domu, a ogrodem zajął się uprzejmy sąsiad, p. Czorba z Krajewic. Pobyt w tem zaciszu miał przynieść wypoczynek po trudach arcybiskupstkich. Ale i tu pracowano intensywnie. Poza tem gościnne ściany rozszerzały się, by przyjmować, często i z dalszych stron, gości. To prałat Meszczyński przywoził z Rzymu wieści i listy od kardynała Ledóchowskiego — to zjawiał się na krótko kan. Waniura — to rektor Akad. Krakowskiej ks. Chotkowski ożywił niezrównanym humorem zebrania. I Zalesie miało szczęście witać w swych murach dostojnych gości. Arcybiskup, choć sam niemuzykalny, lubił słuchać muzyki, śpiewu, deklamacji. Więc grał na



Pałac w Zalesiu.

okarynie lub na cytrze ks. prob. Jackowski z Gostynia, akompanjował mu ks. Stryjakowski na fortepianie, śpiewano chórem patriotyczne pieśni.

Pamiętam cichy, sierpniowy wieczór. Ks. Michalski zaintonował w otwartych drzwiach balkonu: „Góralu, czy ci nie żal?” Rozstawieni w parku księży podjęli melodję i chór powtarzał: „Dla chleba, panie — dla chleba“.

A potem odezwała się majestatyczna skarga, krzywdą dziejową płacząca: „Z dymem pożarów“ i leciała poprzez zadumany ogród, hen — daleko — w bezmiar nocy!...

Z oczu siedzącego przy boku arcybiskupa ks. Meszczyńskiego, świeżo przybyłego z ziemi włoskiej do polskiej — spłynęły łzy...

Gdzieżeście się podziały chwile niezapomniane! Nie było wówczas Polski — ale czuliśmy Ją w nas żywą i kochali całą mocą serc osieroconych... Wyczarowana tą tęsknotą naszą zbliżała się ku nam!...

I oto urywa się łańcuch miłych wspomnień!...

Polityczne prądy, niosące za czasów nacz. prezesa Capriviego nieco ulgi skołatanej Wielkopolsce, zmieniły nagle taktykę. Hakata podniosła głowę i rozpętała burzę. Ciosy godziły prosto w serce tego, któremu Bóg powierzył pieczę nad diecezją. Gdy drapieżne ręce, niesyte zagarniętą naszą ojcowizną, poczęły wysuwać się po duszę dziecka polskiego, wszelkie próby porozumienia wzięły w łeb. Minęły chwile cierpliwych oczekiwań na ulgi. Wstała pewność, że „krzyżackiego gadu nie ugłaszczę nikt” — a z nią twarda męka oporu, z nieustępliwą Bożą siłą aż do śmierci.

Arcybiskup Stablewski skrwawioną ranami duszę oddał Bogu w 1906 r.

Hej! ogarnia mnie melancholja smutnej rocznicy! Śnieg cicho pruszy i srebrną osiędziałą otula świat! Wiatr zda się szumi żałobną symfonię — a w pamięci przesuwają się długi — bardzo długi korowód zmarłych z arcybiskupem na czele, którzy za nim poszli w wiekuiste światłości!...

W Zalesiu, w marcu 1932 r.

Ks. kanonik Stanisław Kozierowski.

Szkice z dziejów Gostynia.

I. Skoczylasowie w Gostyniu.

Mówiąc o farze gostyńskiej zapisał Łukaszewicz¹⁾: „w późniejszych czasach przybudował do niego (t. j. do kościoła) zakrystję i dwa skarbcce do chowania rzeczy kościelnych a nad niemi kaplicę św. Anny Makary Skoczylas, garncarz gostyński“. Pamięć o rzekomym garncarzu Skoczylasie, budowniczym i fundatorze kaplicy św. Anny, zachowała się do ostatnich czasów. Jeszcze przed 30 laty opowiadano mi w Gostyniu, tłumacząc głośnieki umieszczone zewnątrz kościoła jako donice jego wyrobu, w jednej miał ten garncarz przynieść pieniądze na wzniesienie tej pięknej kaplicy.

Niestety nie było mu na imię Makary, ani też nie wiemy, jakiego był zawodu. Znaczny jego majątek wskazuje raczej na inną gałąź przemysłu lub kupiectwo. Nazwisko Skoczylasów możemy w księgach miejskich stwierdzić w XVI w. w latach 1517 — 1584. Z kilku znanych członków

tej rodziny prawdopodobnie fundatorem kaplicy św. Anny i dobroczyńcą szpitala św. Ducha jest Marcin Skoczylas, którego losy śledzić możemy w zapiskach miejskich od r. 1517—55. Marcin Skoczylas występuje już r. 1517—21 jako prokonsul t. j. burmistrz gostyński, r. 1548 ²⁾ otrzymał mieszczanin gostyński Marcin Skoczylas od króla pozwolenie na zapis sumy 200 florenów i wyższej na fundację ołtarza w kościele parafjalnym św. Anny w Gostyniu — niewątpliwie jest tu mowa o kaplicy św. Anny, w której Skoczylas uposażył ołtarz. Czy ją budował z własnych funduszków? R. 1555 spotykamy go w roli kuratora szpitala św. Ducha, zeznał wówczas przed burmistrzem gostyńskim i radą miejską, że wybrał radnych na opiekunów szpitala św. Ducha na przedmieściu i dał im pełnomocnictwo na wszystkie czasy ściągania czynszów, należących do szpitala włącznie głównego kapitału, umieszczonego u pani Zofji Daleszyńskiej. Niewiadomo z czyjego polecenia dokonał tej nominacji, bo zazwyczaj wybór ekonomów szpitala św. Ducha następował w ten sposób, że trzy urzędy t. j. magistrat, wójtostwo i cechmistrze, za zgodą proboszcza starogostyńskiego, wybierali tych ekonomów szpitalnych n. p. r. 1718. Nie wiemy, czy synem Marcina był Stanisław Skoczylas, również dobroczyńca tegoż szpitala. R. 1547 ³⁾ mieszczanin gostyński Stanisław Skoczylas uzyskał pozwolenie królewskie na zapis czynszu rocznego 60 grzywien na dobrach ziemskich dla biednych szpitala na przedmieściu gostyńskim. Następuje potem kilkudziesięcioletnie milczenie w źródłach o Skoczylasach. Dopiero r. 1581 spotykamy w Gostyniu Wojciecha i Jakóba Skoczylasów a r. 1584 zapisany testament Marcina Skoczylasa, może syna lub wnuka poprzedniego.

Skąd się Skoczylasowie w Gostyniu wzięli, nie wiemy. Jest osada Skoczylas w parafji Rzaśnia w powiecie wieluńskim a druga w parafji Kiełczyn w pow. opatowskim. Był także przydomek ziemiański Skoczylas n. p. w Piaskach na Chełmszczyźnie zapisani r. 1563 ⁴⁾ ziemianie Andrzej Wilczak i Maciej Skoczylas Piaseccy, za naszych dni zaś znany malarz artysta Skoczylas.

1) Łukaszewicz. Opis hist. kośc. II. 18.

2) Wierzbowski. Matr. R. P. Sum. I. 8116.

3) Wierzbowski Matr. I. 8002.

4) Wierzbowski l. c. V. 2775.

II. Skrobiszewscy z Brzezia.

W XVII w. żyła w Wielkopolsce rodzina Skrobiszewskich. Ponieważ miejscowości Skrobiszewa na obszarze języka polskiego niema, nasuwają się wątpliwości co do pochodzenia tychże. Może to byli pierwotnie mieszczanie lub kmiecie z bogaceni na sołectwach. Trudność tylko w tem, że także nazwiska Skrobisz nie znamy w Wielkopolsce. Były tylko nazwiska Skrobich i Skrobacz (młynarzy). Od staropolskiego zaś słowa strobić t. j. umacniać, było nazwisko Strobisz znane już r. 1136 i od tegoż nazwiska pochodząca miejscowość Strobiszewice, niegdyś w okolicy Śremu i stąd nazwisko Strobiszewski, pojawiające się w XV w. a zapisane w Kaliskim jeszcze r. 1728 ¹⁾. Nieprawdopodobne jednak, żeby ziemianie nazwisko swoje Strobiszewski mieli przekształcić na gorzej brzmiące Skrobiszewski. Nie pozostaje więc nic innego jak przyjąć dwa odrębne nazwiska.

R. 1644 ²⁾ siedział na sołectwie w Brzeziu, posiadłości wówczas miasta Gostynia, Jakób Skrobiszewski, którego syn Walenty był wtedy kanonikiem i oficjałem we Lwowie. Ponieważ ks. kanonik Walenty był bratankiem, niewiadomo czy bliższym, ks. Jakóba Skrobiszewskiego, był nasz sołtys z Brzezia Jakób Skrobiszewski bratem czy bratankiem ks. kanonika Jakóba Skrobiszewskiego ze Lwowa. Ks. Jakób Skrobiszewski był dziejopisem, poetą łacińsko - polskim, prawnikiem biegłym, mówcą dobrym i wierszopisem w greckim i łacińskim języku. Nauki ukończył w akademji krakowskiej, tamże później był profesorem, następnie wykładał w akademji w Zamościu, wreszcie przeniósł się do Lwowa, gdzie został kanonikiem i tamże zmarł r. 1628 ³⁾.

Napisał ks. Jakób Skrobiszewski Żywoty arcybiskupów halickich i lwowskich, które wyszły w roku jego śmierci u drukarza lwowskiego Szeligi. Najprzód pisze o początkach i wzroście metropolji ruskiej, następnie podaje życiorysy arcybiskupów i umieszcza ich pochwały w łacińskich wierszach. Z innych jego prac wspomnimy dysertację doktorską o przedawnieniu, wydaną w Krakowie r. 1609, wiersz łaciński na śmierć kanclerza Jana Zamojskiego, wydany r. 1605 w Krakowie, panegiryk na Tarnowskiego r. 1604 i t. d. Poezje

¹⁾ Sobczyński. Z akt dawn. par. Chlewo,

²⁾ Z ksiąg miej. gost.

³⁾ Orgelbranda Encykl. Powsz. r. 1866, t. 23. 553.

jego rozproszone po współczesnych pismach. Starowolski pisał o nim, że za jego czasów spotykało się często mowy i listy jego w języku greckim i łacińskim. Zasłużył ks. Jakób Skrobiszewski, żeby go zaliczyć w poczet humanistów polskich.

Naszego sołtysa Jakóba z Brzezia syn, ks. kanonik Walenty Skrobiszewski, również doktor praw, zajmował w kapitule lwowskiej za czasów arcybiskupa Grochowskiego, jako oficjał generalny, wybitne stanowisko. Jego prawdopodobnie dziełem są postanowienia synodu lwowskiego z r. 1641 ¹⁾ z wielu względów, zwłaszcza co do ówczesnej opieki społecznej, piękne i charakterystyczne.

Trzeci duchowny z tych Skrobiszewskich z Brzezia był Ludwik. Pewnie w połowie XVII w. wielebny ks. Ludwik Skrobiszewski wraz z magistratem gostyńskim wznosił z drzewa szpital św. Ducha, który r. 1658 ²⁾ 24 listopada poświęcił biskup poznański Wojciech Tolibowski. Zapisał to r. 1667 wizytator biskupi ks. Wolski. Później wymieniano tych Skrobiszewskich na równi z szlachtą, n. p. r. 1686 ³⁾ Władysław Skrobiszewski był senjorem Bractwa Aniołów Stróżów w Kobylinie. Następnie ginie po nich wszelki ślad.

III. Szkoły.

Szkoły gostyńskie mają za sobą przeszło 600 lat historii. Pierwszy pedagog gostyński, to Jan „eruditor scholarum“ i zarazem notariusz miejski, który r. 1337 ⁴⁾ dziedzicowi Gostynia Mikołajowi, synowi Wojciecha, z Gostynia spisał przywilej dla tego miasta. Nie wiemy jednak, czy już poprzedni notariusz z r. 1305 ⁵⁾ Mikołaj był również nauczycielem w Gostyniu. R. 1418 ⁶⁾ mieszczanin Petronilla wraz z żoną Elżbietą zapisują w testamencie na jatkach rzeźniczych dla nauczycieli szkoły gostyńskiej rocznego procentu na św. Marcin 7 wiardunków (wiardunek = $\frac{1}{4}$ grzywny = 12 groszy). Od XVI w. conajmniej była tu już wyższa szkoła, zwana r. 1515 gimnazjum „gymnasium seu schola Gostinensis“ a

¹⁾ Gazeta Kośc, Lwów, 37. 53 r. 1930.

²⁾ Łukaszewicz. Opis kośc. II. 22.

³⁾ Łukaszewicz. Pow. Krotoszyński I. 185.

⁴⁾ Kod. D. Wpl. II. 1169.

⁵⁾ Kod. D. Wpl. II. 891.

⁶⁾ Kod. D. Wpl. V. 271.

preceptorem był Jan Lubasz t. j. z Lubasza, r. 1570 był preceptorem gostyńskim Mikołaj Rolny (?) z Łęki Małej. Więcej zapisków o szkole tutejszej posiadamy z następnych wieków. R. 1633 był kierownikiem szkoły (praeceptor) Piotr Michalczyk, r. 1637 Maciej Szamotulski bakałarzem gost., r. 1652 zapisany jako rektor szkoły gostyńskiej kleryk niższych świeceń Adam Tylko. Mieszczka gostyńska Szczygłowa zapisała r. 1659 200 florenów dla uczniów szkolnych pod warunkiem, żeby śpiewali na rannem nabożeństwie pieśń do M. Marji Panny: *Stella coeli extirpavit*.

Po spustoszeniu miasta przez Szwedów i zniszczeniu przez zarazę podupadła szkoła. R. 1665 był rektorem szkoły gost. Adam Czołowicz. Według wizytatora ks. Wolskiego r. 1667 ⁴⁾ proboszcz miejscowy utrzymywał szkołę, płacił kantorowi szkoły Janowi Hadowiczowi kwartalnie 4 zł (po 48 gr) i miał go na swoim stole. Oprócz tego pobierał tenże kantor wspomóżkę od bractw „na pociechę” — *consolationes*. W następnym wieku za czasów wizytacji ks. Libowicza r. 1726 był nauczycielem Jan Kaliski. Magistrat otrzymał upomnienie, aby naprawił dom szkolny, chylący się do upadku. Organista miał uczyć dzieci śpiewu tak figuralnego, jak gregorjańskiego. R. 1738 był rektorem szkoły czyli gimnazjum w Gostyniu Jakób Kostrzewski, były uczeń kolegium księży Jezuitów we Wschowie „Director Gymnasii Gostinensis”, może syn „chirurga” gost. Jana Kostrzewskiego z r. 1698.

⁴⁾ Łukaszewicz. Opis kośc. II. 23.

Józef Gano, gospodarz z Kosowa.

Z dziejów kulturkampfu w St. Gostyniu.

(Kartka z pamiętnika *)

... Muszę też wspomnieć o walce kulturalnej, która w naszej parafii szalała w całej swej ohydzie.

Proboszczem w Starym Gostyniu był ks. Wojciechowski, ostatni benedyktyn z klasztoru lubińskiego. Był to ksiądz już w starszym wieku, a będąc słabowitym, miał do pomocy wikarego. Wreszcie umarł ks. Wojciechowski w r. 1874, a że nie zdał owemu wikarjuszowi, ks. Kinowskiemu, probostwa, ścigali tegoż żandarmi jak jakiego zbrodniarza. Ukrywając się dosyć długo, nocował co dzień gdzieindziej, raz w tej a drugi raz w innej wiosce. Ukrywał się szczęśliwie i długo nie mogli go schwytać, gdyż prawie zawsze był ostrzeżony, że tedy albo tedy przyjadą go szukać. Sołtysem nikt nie chciał być w St. Gostyniu, gdyż sołtys, jako urzędnik pruski, miał pomagać chwytać ks. Kinowskiego. Sołtysem był wówczas w St. Gostyniu Leonard Maćkowiak. Gdy go na ten urząd wybierano, oświadczył wyraźnie, że niech nie myślą, żeby on miał jakiego księdza zdradzić, gdyż inaczej urzędu tego nie przyjmie. To też komisarz powiedział, że nie potrzebuje się tego obawiać, do tego są bowiem żandarmi, a nie sołtysi. A że tego nowoobranego sołtys nie kazał zaprotokółować, wytoczono mu później proces o to, że nie chce pomagać chwytać księdza, i skazano go na cztery tygodnie więzienia i 3000 mk. kosztów. Więzienie odsiedział, a koszty zapłaciły dwory, t. j. panowie Potworowscy z Kosowa i Goli i Kurnatowski z Dusiny.

Nareszcie jednej niedzieli przyjechało o północy kilku żandarmów z komisarzem na czele, powózkę zostawili w boru, a sami ukryli się na cmentarzu. Ks. Kinowski, nie przeczuwając nic złego, idzie o 8-mej godzinie do kościoła, a tu żandarmi za nim. Ks. Kinowski był młodym, przeskoczył zatem mur cmentarny i byłby im niezawodnie uciekł, gdyby mu nie spadł kapelusz z głowy. Wrócił się po niego i dał

*) Redakcja otrzymała od p. Józefa Gana początek pamiętników, które zawierają bardzo dużo ciekawych szczegółów z jego życia. Podajemy urywek tych pamiętników, dotyczący walki kulturalnej, ażeby wykazać, że i chłop polski z powodzeniem chwyta za pióro. Niech to będzie zachętą dla innych mieszkańców naszego powiatu.

się schwytać, mówiąc, że widocznie Pan Bóg chce, aby cierpiał.

Gdy go wieźli przez miasto Gostyń, zebrała się ogromna moc ludu i chciano go odbić. Wtenczas ks. Kinowski, widząc na co się zanosi i nie chcąc krwi rozlewu, błagał i prosił ludzi, ażeby nie robili awantur i się spokojnie rozeszli, bo on chce cierpieć. Lud go usłuchał i poszedł na sumę do kościoła, modląc się do Pana Zastępów o łagodny wyrok dla ks. Kinowskiego. Ks. Kinowski został zasądzony na dwa lata więzienia.

Nie trwało długo, a władza duchowna przysłała nam innego księdza, który już dwa lata odsiedział we więzieniu. Był to rzeczywiście ksiądz wedle Serca Bożego. Ten był przezorniejszy od swego poprzednika. W każdą niedzielę poustawiał warty, na każdym końcu wsi po jednym, na wieży jednego i przy kościele jednego. Gdyby jechali żandarmi, mieli dać umówione znaki tym, co byli na wieży i przy kościele. Tak przeszło lato i zima spokojnie. Przyszła Wielkanoc. Wszystko zapowiadało się spokojnie, zaczęła się rezurekcja, procesja obchodziła już drugi raz kościół, aż tu nagle wartownik, który był na końcu wsi od strony Gostynia, dał alarmujące znaki, że niebezpieczeństwo się zbliża, to też cała procesja weszła prędko do kościoła. Ksiądz schował Pana Jezusa. Wszystkie drzwi pozamykano, a ksiądz nakazał kościelnemu, aby tak długo się uwijał koło wielkiego oftarza, aż on się przebierze. Potem poszedł pod chór pomiędzy chłopów, aby się przebrać za chłopą. Wtem otwarli żandarmi przemocą drzwi od kruchty i weszli do kościoła w hełmach. Mieli szczęście, że na przedzie były same kobiety, bo mężczyźni się na nich szykowali, a była ogromna ciżba w kościele. Nie wiem, czy to który zuch złamał chorągiewkę, ażeby iść wygnać owych nieproszonych gości, czy też wskutek ciżby chorągiewka pękła, żandarmi jednak, słysząc, że ktoś łamie drzewce od chorągiewek, poczęli się wycofywać z kościoła. Przy mym ojcu i przy mnie przebrał się ksiądz za chłopą w chłopski kozuch, chłopskie buty, jedwabną chusteczkę na szyję, a że nosił przyprawione pejsy i wąs, wyglądał więc jak rodowity chłop. Gdy był już zupełnie przebrany, odezwał się w te słowa, ażeby wszystkie drzwi kościelne pootwierać i wszystkiemi drzwiami iść, nie gapiąc się i nie przystawając, każdy we swą stronę. Tak się też stało. Ludzie szli całą masą. Ja z mym ojcem szedłem tuż za księdzem.

Gdyśmy już przyszedli do woza naszego, rzekł mój ojciec te słowa: „dziękaj Ci, Boże, że tak szczęśliwie ksiądz przeszedł niepoznany“. Ks. Klapaczewski, bo tak kazał się nazywać, poszedł do Goli, a z Goli jeszcze dalej, i nie złapali go nigdy. Żandarmi brody wyciągali do góry, upatrując księdza. Złapali trzech owczarków. W owym czasie owczarkowie najładniej się ubierali. Wzięli ich do Gostynia, a po wylegitymowaniu musieli ich puścić do domu, narobiwszy ze siebie śmiechu, że ładnych księży złapali. Gdy chwyтали jednego z nich, porwał jeden chłopak ze St. Gostynia, Roman Jankowiak, kamień i rzucił na żandarma, utracając mu szpicę od hełmu. Nazajutrz musiał wyjechać do Westfalji. Poszukiwali go długo, aż go wreszcie znaleźli we Westfalji. Wytoczyli mu proces i zasądzili go na jeden rok więzienia.

Były to opłakane czasy, ale wiara u ludzi była żywa, nie tak, jak dziś, gdzie niejedyn młodziak idzie tylko po to do kościoła, ażeby z kolegami pogadać przed nim.

Gdy miałem lat dziewięć, zacząłem chodzić na naukę przygotowawczą do pierwszej komunji św. Uczył nas ksiądz — to na plebanji w tylnym pokoju, to w domu pana organisty, to gdzieindziej. Czasami uczył nas pan organista. Raz przyszedł ksiądz z czarną brodą, wąsem i pejsami. Innym razem znów tylko z wąsem, to znów bez zarostu, tak że my dzieci, nieraz zobaczywszy księdza, mówiliśmy: „dziś idzie inny ksiądz, to nie jest ten sam, co nas uczył“. Przeobrażając się prawie co dzień inaczej, nie dał się złapać.

Razu jednego mój ojciec pojechał po księdza dla chorego. Będąc już niedaleko Kosowa, zobaczył ojciec, dojeżdżając pod górę, świecący hełm żandarma, który jechał od Kosowa. Ojciec mój, nie namyślając się, skręcił na drogę do Stankowa, i jakby nigdy nic jedzie sobie, jakby mu tam droga wypadała. Wszyscy ludzie we wsi byli już pewni, że tym razem złapał żandarm napewno księdza, aż tu patrzą, a ojciec mój wiezie księdza od strony Stankowa. Opatrzywszy chorego sakramentami św. św., mówił ksiądz do swego otoczenia, że chyba sam Pan Bóg natchnął ojca mego myślą, aby pojechał ku Stankowu, bo byłby go żandarm niechybnie złapał. Że go raz nie złapali, prawie cudem nazwać można. Przyjechało po niego dwóch żandarmów. Ksiądz nie mógł już ujść, skrytki jednak nie było, stanął zatem za firaną, a oni, jakby oślepli, go nie widzieli.

Spowiedzi wielkanocnej słuchali owi ukrywani księża w pałacu w Kosowie, w Goli, to znów w innej wsi, dając wprzód wiadomość do sołtysa, a sołtys pod sekretem obszedł wieś, oznajmiając, że o tej albo o tej godzinie będą księża słuchać spowiedzi św. w pałacu lub gdzieindziej. Nabożeństwo czasami odprawiali o północy, a ludziom nie było trudno wstać i pójść na mszę św. choć o północy. Chociaż zdarzało się często, że ksiądz nie mógł w niedzielę odprawić nabożeństwa, ludzie szli, jak zwykle, do kościoła, śpiewali godzinki do Najśw. Marji Panny i pieśni pobożne. A śpiewali wszyscy ludzie, że aż dźwięczało, nie tak jak dziś, mój Boże. Parę starszych osób śpiewa, a młodzież, pozał się Boże, jakby zamarznęte buzie miała. Gapi się, jakby śpiew był czemś ubliżającym.

Nareszcie przyszedł i dla mnie upragniony dzień uroczystej komunji św., nadszedł dzień 8 maja, uroczystość św. Stanisława, biskupa krakowskiego. Ach, co to był za dzień uroczysty dla mnie, że mogłem razem z innymi dziećmi przyjąć Pana Jezusa do serca swego. Był to najuroczystszy dzień w całym mem życiu.

Kulturkampf potem trochę osłabł i księża już tak nie łapano jak wprzód. Mogli już śmiało wyjść na ulicę. I nasza cała parafja odetchnęła swobodnie. Nabożeństwa odprawiały się regularnie o swoim czasie. Nasz ks. Klapaczewski wyjawiał teraz swoje rodowite nazwisko, bo nie potrzebował się z nim ukrywać, a nazywał się ks. Antoni Pawałowski. Całe sześć lat był naszym duszpasterzem w St. Gostyniu, to też parafjanie starali się u władzy duchownej, ażeby go zostawiła na stałe, lecz po jakimś czasie przeznaczyła go do Konojadu. Do naszej parafji przyszedł ks. Gregorowicz, po paru latach znów ks. Wendland, który był u nas plebanem sześć lat. Po nim przyszedł ks. Gładysz, który był u nas pierwszym proboszczem. Po kilku latach przeniesiono ks. Gładysza do Wolsztyna, a nam władza duchowna nadesłała jako duszpasterza ks. dr. Ludwika Sobkowskiego, który od r. 1894 aż do dziś dnia jest proboszczem parafji starogostyńskiej.

Wydaje :

Polskie Tow. Kultury i Sztuki im. Al. hr. Fredry (Fredreum) w Gostyniu.

Redaktor : Wł. Stachowski.

Administracja : Księgarnia Wł. Stachowskiego w Gostyniu. — Cena 50 gr.

Odbito w Drukarni Spółkowej w Kościanie.